

Idea Międzymorza w myśli Adolfa Bocheńskiego

W tej sytuacji uwagi Bocheńskiego nabierają szczególnego znaczenia. Obecna sytuacja powinna bowiem skłaniać do rozważenia różnych, nawet dość „egzotycznych” – jak dziś się może wydawać – scenariuszy rozwoju sytuacji międzynarodowej. Nie chodzi oczywiście o to, by pochopnie porzucać dotychczasowych sojuszników, czy lekceważyć wciąż istniejące i ważne struktury polityczne i militarne, ale raczej o to, by być gotowym na każdy możliwy rozwój sytuacji z jednej strony, z drugiej zaś przygotować jak najlepszą pozycję w nieuniknionych chyba renegocjacjach wewnątrzunijnego (a też i wewnątrznatowskiego) ładu.

- obszernie o idei Międzymorza w Teologii Politycznej Co Tydzień nr 10: "Projekt: Intermarium" [\[\[sitetree_link id=#http://www.teologiapolityczna.pl/teologia-polityczna-co-tydzien-nr-10-projekt-intermarium\]](http://www.teologiapolityczna.pl/teologia-polityczna-co-tydzien-nr-10-projekt-intermarium) pisze prof. Bartosz Jastrzębski.

Przypominamy ten tekst ze względu na aktualną dyskusję na temat idei Trójmorza.



W tej sytuacji uwagi Bocheńskiego nabierają szczególnego znaczenia. Obecna sytuacja powinna bowiem skłaniać do rozważenia różnych, nawet dość „egzotycznych” – jak dziś się może wydawać – scenariuszy rozwoju sytuacji międzynarodowej. Nie chodzi oczywiście o to, by pochopnie porzucić dotychczasowych sojuszników, czy lekceważyć wciąż istniejące i ważne struktury polityczne i militarne, ale raczej o to, by być gotowym na każdy możliwy rozwój sytuacji z jednej strony, z drugiej zaś przygotować jak najlepszą pozycję w nieuniknionych chyba renegocjacjach wewnątrzunijnego (a też i wewnątrznatowskiego) ładu.

- obszernie o idei Międzymorza w Teologii Politycznej Co Tydzień nr 10: "Projekt: Intermarium" pisze prof. Bartosz Jastrzębski. Przypominamy ten tekst ze względu na aktualną dyskusję na temat idei Trójmorza.

Idea Międzymorza powraca do debaty politycznej. Jedni przyjmują ten fakt ze szczerym entuzjazmem, traktując go jako wyraźny objaw odzyskiwania przez Polskę podmiotowości na arenie polityki międzynarodowej, inni znowu – z prawdziwą zgrozą i boleją nad nim, jako nad świadectwem kolejnej inkarnacji całkiem fantastycznych, a równocześnie szkodliwych rojeń mocarstwowych. Niestrudzenie powtarzają przy tym właściwie ciągle ten sam argument: Polsce brak

odpowiedniego potencjału gospodarczego i militarnego, by mogła udźwignąć przywództwo w takiej grupie, tym bardziej w kontekście istotnych różnic partykularnych interesów krajów regionu. Jedni i drudzy przyznają jednak, że koncept istotnie powrócił na polityczne, publicystyczne i medialne salony, że jest na nowo rozważany, rozpisywany na mapach, że znów zapładnia wyobraźnię, inspiruje i niepokoi jednocześnie, a przede wszystkim – jak to zazwyczaj bywa w Rzeczypospolitej – silnie polaryzuje i antagonizuje środowiska polityków, komentatorów, publicystów, historyków, politologów i w końcu też zwykłych obywateli. Gorącym zwolennikom przeciwstawiają się środowiska wymownych, przekonanych i stanowczych przeciwników, pomiędzy nimi zaś zwyczajowo tkwi liczna grupa niezdecydowanych, popatrujących niepewnie to w jedną, to w drugą stronę...

Zważywszy na bezsprzeczną aktualność, a przy tym kontrowersyjność tematu, przyjrzyjmy się mu nieco uważniej, za towarzysza w tych rozważaniach biorąc wybitnego, polskiego myśliciela politycznego – Adolfa Bocheńskiego. Pozwolimy sobie pominąć jego biografię intelektualną – zakładając, że jest to postać na tyle dobrze znana, że nie jest to konieczne – i przejść od razu do rzeczy samej, a więc do analizy podstawowych uwarunkowań polskiej polityki międzynarodowej, tak jak on je postrzegał (choć we współczesnym kontekście). Okazuje się bowiem, że mimo upływu mniej więcej osiemdziesięciu lat tezy Bocheńskiego nadal zachowują w znacznej mierze wartość i aktualność. Choć dzisiejsza Polska jest krajem zupełnie innym politycznie, społecznie kulturowo i moralnie niż II Rzeczpospolita (a też i dalece nietożsamym terytorialnie i etnicznie), to jednak sytuacja geopolityczna nie uległa – bo też i nie mogła ulec – zasadniczej zmianie. W dalszym ciągu podstawową determinantą zewnętrzną, warunkującą nasz byt polityczny, jest usytuowanie między

znacznie potężniejszymi sąsiadami – Niemcami i Rosją. Stosunki z tymi właśnie krajami określały samo istnienie oraz stan polityczny, gospodarczy i terytorialny Polski w przeszłości, określają je dziś i nie inaczej będzie w przyszłości,. W dalszym ciągu również nader istotnym zadaniem naszej polityki zagranicznej jest wypracowanie formuły współzycia ze słabszymi sąsiadami ze wschodu i północnego wschodu – Ukrainą, Białorusią, Litwą, Łotwą i Estonią – oraz z partnerami z południa: Czechami, Słowacją, ale też Węgrami, Rumunią, Bułgarią i Chorwacją. Te wszystkie organizmy państwowe i narodowe zawsze (w jakiejś formie) były, są i będą obecne, co umożliwia rozważanie pewnych stałych elementów i warunków sytuacji międzynarodowej Polski. Przystąpienie Polski i części jej sąsiadów do NATO i Unii Europejskiej, choć niebywale istotne dla politycznej „układanki” w regionie, również nie zmieniło w sposób fundamentalny wyżej opisanej sytuacji. Po pierwsze dlatego, że akces do Unii nie zlikwidował wewnętrznych różnic i napięć ani w obrębie samej Europy Środkowej, ani też w jej relacjach do Europy Zachodniej (problem relacji na linii Stara Unia – Nowa Unia). Po drugie zaś, bardzo poważny kryzys polityczny Unii, związany z trudną sytuacją gospodarczą, nierozwiązaniem problemu napływu imigrantów i uchodźców z Afryki i Bliskiego Wschodu, agresywną polityką Rosji oraz perspektywą „Brexitu”, każą zasadnie pytać o trwałość tego politycznego ciała (przynajmniej w dotychczasowym kształcie), a co za tym idzie, wymagają przemyślenia rozlicznych wariantów alternatywnych w polityce zagranicznej. Skłaniać do tych rozważań winna również zasadnicza – i chyba nieusuwalna – niepewność co do militarnej i politycznej skuteczności ewentualnej reakcji NATO w obliczu możliwego kryzysu na linii Wschód – Zachód. Innymi słowy, wbrew optymistom, wstąpienie Polski do międzynarodowych struktur europejskich i euroatlantyckich nie stało się „końcem historii”, docelowym portem wiecznej szczęśliwości i bezpieczeństwa, w którym bujać mieliśmy błogo i bezpiecznie do końca czasów. Otóż nie. Co

więcej, wiele wskazuje na to, że historia znów „urwała się z łańcucha”, co oznacza, że zmiany na arenie międzynarodowej zaczynają zachodzić z prędkością jeszcze do niedawna trudną nawet do wyobrażenia.

W świetle powyższego, przystąpić możemy do przywołania kilku kluczowych dla naszych rozważań konceptów Bocheńskiego i przemyśleć ich adekwatność w obecnej sytuacji. Jedną z najistotniejszych dla swojego realizmu politycznego tez wykładu Bocheński już w pierwszych słowach sztandarowej pracy *Między Niemcami a Rosją*: „Zaraz u wstępu pragnęlibyśmy przedstawić czytelnikowi jedną z najbardziej kardynalnych zasad, na których będą się opierać poniższe wywody. Jest nią twierdzenie, że polityka zagraniczna wszystkich państw ulega ciągłym zmianom i że stanowiska dzisiejszego tych państw nie można apriorystycznie przyjmować za niezmiennie”[1]. A nieco dalej formułuje jeden z ważniejszych, wpływających z tej zasady wniosków: „Z jednej strony musimy brać pod uwagę możliwość dobrych stosunków z Rzeszą Niemiecką przez pewne okresy czasu, z drugiej nie możemy uwierzyć w ich wieczność i stałość. To są zasadnicze wytyczne, do których Rzeczpospolita powinna się dostosować. Ale wyzbywając się iluzji na zachodzie, nie możemy pozwolić na pielęgnowanie ich ze strony przeciwnej”[2]. A zatem nie ma niezmiennych i nienaruszalnych idei w polityce zagranicznej. Myśl ta może wydawać się banalna, a jednak wśród polityków, politologów i publicystów wciąż widoczna jest skłonność do orzekania „wiecznych” sojuszy i – w nie mniejszym stopniu – „odwiecznych” wrogów, słowem: „wiecznych i nienaruszalnych” uwarunkowań naszej polityki zagranicznej. Ten absolutyzm i kategoryczność w sądach wydają się niemal niepoważne w kontekście złożonej i tragicznej historii naszego kraju – a jednak nie tylko są spotykane, ale określają zasadniczą atmosferę debat na te arcytrudne tematy. Kategoryczność sądów jest tu nadzwyczaj uporczywa, tak jakby sama natura tematu skłaniała do

efekownych, „zawsze prawdziwych” uogólnień. I od tej właśnie przypadłości polska myśl dotycząca polityki zagranicznej winna się w pierwszym rzędzie uwolnić.

Do niedawna zdecydowanie dominującym nurtem w polskim myśleniu politycznym pozostawał szeroko pojmowany „okcydentalizm”, przez który rozumiemy tutaj przekonanie, że „jedyną właściwą” drogą dla Polski jest pogłębianie integracji ze strukturami Unii Europejskiej oraz NATO, względnie dodatkowe umacnianie jej bilateralnymi stosunkami z USA (szczególnie w zakresie obronności i transferu technologii wojskowych). Polska bowiem „od zawsze” należała do Zachodu, do Europy, z czego wynika nakaz jak najściślejszych z nimi związków, tak, aby już nigdy nie stało się możliwe oderwanie jej od europejskiej macierzy. Ów polityczny kierunek oznaczał zatem nakaz zacieśniania politycznych i gospodarczych stosunków z Niemcami, które niewątpliwie są liderem europejskiej integracji i jej najważniejszym kołem napędowym – Unia to przecież niewątpliwie *Deutsche (Mittel)Europa*, co przyznają również jej entuzjaści. Tego rodzaju pozycja polityczna miała nas chronić przed podstawowym zagrożeniem polskiego bytu państwowego, za które uznana została „bizantyjsko-imperialna” (ale równocześnie mentalnie nadal sowiecka) Rosja ze swoją nieprzewidywalną, neoimperialną i rewizjonistyczną polityką. Linia Bugu stała się w ten sposób poniekąd granicą uprawiania realnej (wykraczającej poza dyplomatyczne konwenanse i oddolną współpracę przygraniczną i gospodarczą) polityki zagranicznej. Jako że Ukraina i Białoruś trwale znalazły się poza Unią, należało pogodzić się także i z tym, że „wypadły” one z horyzontu polskiej polityki – oczywiście finalnie na rzecz sfery wpływów Rosji. Natomiast kraje Grupy Wyszehradzkiej miały się komunikować ze sobą w zakresie przewidzianym wewnątrzunijnymi procedurami – bez specjalnej ważności czy szczególnych taryf uprzywilejowania. W efekcie polska

polityka zagraniczna, zarówno w okresie rządów lewicowych, jak i liberalnych, koncentrowała głównie na relacjach z Niemcami i ze strukturami unijnymi. I tak miało pozostać, aż do ostatecznego zbudowania szczęśliwego europejskiego *meltin pot* – zjednoczonego, wielokulturowego superpaństwa. Powstanie takiego tworu stało się wyraźnym celem polityki niemieckiej, dążącej do stworzenia ponadnarodowej (ale nie ponadniemieckiej) struktury, umożliwiającej rozwój gospodarki naszego zachodniego sąsiada do poziomu pozwalającego na skuteczną konkurencję z gospodarczymi potęgami USA, Chin oraz Indii. Do realizacji tego celu potrzebne były jeszcze jak najlepsze stosunki z „surowcową”, a równocześnie „eksportochłonną” Rosją, o co też Niemcy skrupulatnie zadbały. I tak to, mniej więcej, miało się wszystko pięknie i bezkonfliktowo ziścić.

Tak się jednak nie stało i najprawdopodobniej już się nie stanie. Nie miejsce tu na szczegółowe rozważanie licznych przyczyn, które o tym zdecydowały - jest to bowiem temat rozległy i złożony. Hasłowo jednak można przypomnieć sekwencję zdarzeń kluczowych, które doprowadziły do kresu nadziei na łatwą i szybką integrację europejską. A zatem: kryzys ekonomiczny 2008 roku, aneksja Krymu i wybuch wojny na Ukrainie, czego skutkiem były sankcje i ochłodzenie stosunków z Rosją, grecki kryzys zadłużenia, wojna w Syrii oraz sprawa imigrantów i uchodźców wraz z eskalacją terroryzmu ze strony ISIS. W końcu niemiecka polityka „Willkommen” i spory: nie tylko o techniczną kwestię relokacji imigrantów, ale przede wszystkim o kulturowy i społeczny kształt przyszłej Europy, a ściślej biorąc – o możliwość i zasadność realizacji idei Europy skrajnie liberalnej i multikulturowej. Perspektywa „Brexitu”, a także wzrost znaczenia partii konserwatywnych i prawicowych w wielu państwach Europy (co było reakcją na agresywny progresizm liberalno-lewicowych elit

europiejskich) dopełniły obrazu całości – obrazu rozchwiania europejskich struktur i dezaktualizacji najbardziej dotąd popularnych politycznych scenariuszy jej rozwoju.

W tej sytuacji uwagi Bocheńskiego nabierają szczególnego znaczenia. Obecna sytuacja powinna bowiem skłaniać do rozważenia różnych, nawet dość „egzotycznych” – jak dziś się może wydawać – scenariuszy rozwoju sytuacji międzynarodowej. Nie chodzi oczywiście o to, by pochopnie porzucać dotychczasowych sojuszników, czy lekceważyć wciąż istniejące i ważne struktury polityczne i militarne, ale raczej o to, by być gotowym na każdy możliwy rozwój sytuacji z jednej strony, z drugiej zaś przygotować jak najlepszą pozycję w nieuniknionych chyba renegocjacjach wewnątrzunijnego (a też i wewnątrznatowskiego) ładu. I tu właśnie pojawia się koncepcja Międzymorza, mocno forsowana przez rząd Prawa i Sprawiedliwości oraz Prezydenta Andrzeja Dudę.

O cóż więc chodzi w owym Międzymorzu – tak jak dziś jest ono rozumiane przez jego zwolenników?

W pierwszym rzędzie chodzi o stworzenie wewnątrzunijnego i wewnątrznatowskiego bloku nacisku na – potężniejsze w stosunku do każdego środkowoeuropejskiego państwa z osobna – Niemcy. Polityka i gospodarka unijna mają tendencje do stawania się polityką i gospodarką niemiecką, w myśl surowej zasady, że „najmocniejszy (zwycięzca) bierze wszystko”. A przez to staje się jeszcze mocniejszy, co w konsekwencji prowadzi do dalszych zwycięstw i ukształtowania się superlidera, samowładnie już panującego w gospodarczej przestrzeni Europy. Tymczasem interesy Niemiec mogą – choć wcale nie muszą – pokrywać się z polskimi. Na ogół jest tak, że pokrywają się tylko

częściowo i w niektórych segmentach. W innych Polska – jako słabszy partner – jest obszarem gospodarczej ekspansji Niemiec. Nie ma w tym zresztą nic dziwnego – tak działa kapitał, który ma narodowość i to na ogół dość wyraźną. Ponadto kraje Europy Środkowej, pomimo że rzeczywiście mają wiele różnych i niekoniecznie zbieżnych interesów, są połączone przynajmniej pewnego rodzaju wspólnotą dziejowych doświadczeń, a co za tym idzie – także i mentalności (z całym wachlarzem właściwych jej nadziei, leków, kompleksów i ambicji). Myślę tu nie tylko o okresie powojennego komunizmu i supremacji radzieckiej, ale ogólnie – o doświadczeniu wielowiekowych walk o zachowanie suwerenności, więcej – o samych biologicznych podstaw narodowego bytu w obliczu trzech zasadniczych zagrożeń: niemieckiego, rosyjskiego i azjatyckiego (mongolskiego, tatarskiego, a w szczególności osmańskiego). Wspólnota dziejowych doświadczeń obejmuje przy tym również kraje pozaunijne, stanowiące wszakże, przynajmniej potencjalnie, ważny element Międzymorza. Dodatkowym, pozaunijnym wzmocnieniem tego bloku miałyby być oczywiście Ukraina i, w dalszej perspektywie, Białoruś oraz Mołdawia. A pewnego dnia może także i Gruzja. Dodatkowo, węzłem łączącym niektóre z owych krajów jest religia: Polska, Węgry, Słowacja, Litwa i Chorwacja to kraje ze zdecydowaną przewagą katolicyzmu, ten zaś niesie ze sobą określony „pakiet” aksjologiczny tudzież wytworzoną przez siebie w toku dziejów wrażliwość moralną i społeczną. Krótko mówiąc, kraje te łączy wspólne doświadczenie przeszłości i te same potencjalne zagrożenia w przyszłości, wynikające z położenia geopolitycznego. To całkiem niemało, a na pewno więcej niż łączy, dla przykładu, Estonię i Portugalię (które pozostają przecież szczęśliwie we wspólnym bloku). Wspólnotę Międzymorza łączyłoby zatem na pewno więcej niż ogólnounijny, cokolwiek abstrakcyjny i wydumany (zwłaszcza po odcięciu od kulturowo-religijnego zaplecza) projekt „Europejczyka” (czy raczej „neo-” lub „posteeuropejczyka”).

Powstanie tak rozumianego Intermarum jest w pełni zgodne z jedną z podstawowych idei realizmu politycznego Bocheńskiego (i jego koncepcji polskiej racji stanu). Autor *Między Niemcami a Rosją* pisze: „Jeżeli sięgniemy do głębi zagadnienia, to spostrzeżemy, że przed Polską stoją właściwie dwie wielkie drogi prowadzące do ochrony jej integralności terytorialnej. Jedna droga – to wyzyskanie w maksymalnej mierze siły bezwładu europejskiego. Wszelkie zmiany na mapie Europy niewątpliwie prowadzą do naruszenia tego zbawczego bezwładu. To jest droga w polityce zagranicznej konserwatywna i właściwie najłatwiejsza. To jest *au fond* [w gruncie rzeczy] polityka zagraniczna prekonizowana przez wszystkie odcienie dmowszczyzny w Polsce. Niestety jednak historia stwierdza, że siła bezwładu była zawsze wprawdzie siłą ogromną, ale w końcu zawsze ulegała siłom bardziej aktywnym. Druga droga, to droga prowadząca do uzyskania przez Polskę stanowiska naprawdę mocarstwowego, nie przez nabytki terytorialne, ale przez stworzenie na naszych granicach maksymalnej ilości organizmów państwowych, nawzajem się neutralizujących”[3]. Pierwszym warunkiem zatem – i to warunkiem dziś już spełnionym – narodzin Międzymorza jest powstanie u naszych granic licznych organizmów państwowych. Z jednej strony miałyby one stanowić „bufor” pomiędzy Polską a Rosją (to jedna z bardziej utrwalonych – i słusznie – idei polskiej polityki wschodniej). Z drugiej zaś, możliwym i pożądanym byłoby związanie owych organizmów z Polską, co nadałoby całemu blokowi środkowoeuropejskiemu odpowiednią spistość, a co za tym idzie – wydatnie zwiększyło jego gospodarczy, demograficzny i polityczny (w tym także militarny) potencjał. Rozrost polityczny Polski na linii Północ-Południe wydaje się rozwiązaniem nader ciekawym i obiecującym, a dziejowo – jak dotąd – nie wykorzystanym dostatecznie. Nie zrealizowali tego projektu niewątpliwie władni ku temu Jagiellonowie (władający jednocześnie Rzeczpospolitą, Węgrami i

Czechami), później zaś na przeszkodzie stanął upadek Węgier, ekspansja Porty, wzrost potęgi Habsburgów... Dziś nie ma rzecz jasna miejsca na jakikolwiek rozrost terytorialny Polski kosztem sąsiadów jako, że „jedyną formą imperializmu, która może przynieść państwu na terenie Europy jego istotne wzmocnienie, jest przyłączanie terytoriów, które zamieszkiwane są przez naród będący jednocześnie panującym w państwie imperialistycznym. Otóż stwierdzić musimy, że możliwości naszego imperializmu terytorialnego są właściwie tak ograniczone, że nawet w najlepszym razie nie będą w stanie wydatnie zmienić stosunku sił Polski do jej sąsiadów. Oczywiście pomijamy tu kwestię możliwości federacji, gdyż w tym wypadku nie wchodziłby w grę imperializm Polski, lecz złączenie się Rzeczypospolitej z innym, niepodległym narodem”[4]. Konieczna jest zatem zasada dobrowolności – wspólnej woli politycznej powstania takiego bloku. Długo wydawało się, że takiej woli właśnie brak, w jej narodzinach przeszkadzały wzajemne zaszłości, kompleksy, dawne konflikty i resentymenty, oraz różnice w partykularnych celach politycznych. A także obawy związane z ideą zacieśniania współpracy z narodem silniejszym – a takim z konieczności pozostaje Polska w stosunku do wszystkich partnerów środkowoeuropejskich. Bocheński w następujący sposób charakteryzuje ową trudność:

„Chcąc zrozumieć mentalność naszych partnerów w federacji, musimy tak rozumować, jak gdybyśmy byli sami na ich miejscu. [...] Otóż zastanówmy się teraz dlaczego Polacy nie są skłonni pod żadnym pozorem do federacji z Niemcami i Rosjanami, chcieliby natomiast połączyć się z takimi narodami jak Węgrzy, Ukraińcy czy Litwini. Naszym zdaniem wypływa to z ogólnej zasady, że współczesny naród chętniej zawiera układ federacyjny z narodem słabszym od siebie niż z silniejszym.[...] Nie możemy więc się dziwić, że otaczające nas mniejsze narody mają w stosunku do nas dość podobne obawy, jak my w

stosunku do Rosji czy Niemiec. Wpływają na to przede wszystkim względy natury prestiżowej, odgrywające czołową rolę w polityce współczesnych nacjonalizmów. Względy polityczne, czyli bezpieczeństwo, nakazywałyby raczej związek z państwami bardzo silnymi, które by dawały pełne gwarancje pod tym względem. **Niestety jednak, mając dość powagi, by prestiżowo razić naszych możliwych partnerów, nie mamy dość siły, by im na stałe zapewnić bezpieczeństwo [podkreślenie – B.J.]”[5].**

Tak oto dochodzimy do istotnego problemu związanego z Międzymorzem, problemu wynikającego z niejako „przejściowej” formy geopolitycznej Polski jako kraju „średniego”. Nie zaliczamy się do państw dużych, takich jak Francja, Niemcy czy Wielka Brytania (co wynika zresztą ze słabości politycznej, gospodarczej i demograficznej, nie zaś terytorialnej), ale nie sposób umieścić Polski również wśród państw małych, takich jak Słowacja, Litwa, czy nawet Czechy albo Węgry. Pytanie brzmi zatem czy Rzeczpospolita jest – lub może być – krajem wystarczająco silnym, by przyciągnąć do siebie inne organizmy państwowe? Czy jest zdolna wytworzyć odpowiednio silną polityczną „grawitację”, by „przechwycić” mniejsze państwa regionu w swoją orbitę – i to wbrew potężnej „grawitacji” niemieckiej? Czy też jesteśmy skazani na opisaną przez Bocheńskiego „międzystrefę” – dość duży, by budzić lęk, ale nie dość, by dawać poczucie bezpieczeństwa? Sceptycy są tutaj jednogłośni: Polska nie ma i w przewidywalnej przyszłości mieć nie będzie wystarczającego potencjału kulturowego, demograficznego, politycznego, gospodarczego i militarnego, by jawić się jako atrakcyjny partner federacyjny – czy raczej konfederacyjny – krajom Europy Środkowej. Jako państwo największe w rejonie musielibyśmy bowiem narzucać formę polityczną i ustrojową nowemu organizmowi politycznemu, a nade wszystko stanowić jego gospodarczy, technologiczny i polityczny „napęd”. Tych zadań nie

jesteśmy w stanie podjąć, borykając się wciąż z elementarnymi problemami wewnętrznymi. Międzymorze to mrzonka – konkludują więc.

Kolejnej, acz związanej z poprzednią, przeszkody w powstaniu Międzymorza upatruje Bocheński w obawie przed procesami wynarodowienia elit, procesami dobrze znanymi w Europie Środkowej i źle zapamiętanymi przez mniejsze państwa. Powiada on w tym kontekście: „Druga wielka trudność idei federacyjnej to historia, wspomnienia dziejowe. Dzieje Europy Środkowej w XVI i XVII wieku ułożyły się w ten sposób, że wskutek współżycia kilku narodów w granicach jednego państwa czy jednej federacji państwowej szereg narodów utraciło swą elitę społeczną na rzecz innych narodów, dominujących w danym związku. Tak na przykład Ukraińcy, Białorusini i Litwini utracili swą elitę społeczną na rzecz Polski. Chorwaci, Słowacy i Rumuni siedmiogrodzcy – na rzecz Węgier...”[6]. I dalej wyjaśnia: „I tu jest wielki błąd psychologiczny naszej propagandy federacyjnej. Imię Jagiellonów – dla nas tak drogie – jest niemniej znienawidzone, z wyżej wyłuszczonej powodów, przez sąsiadujące z nami narody. Publicystyka na przykład ukraińska słowo »idea jagiellońska« umieszcza zawsze w cudzysłowie, jako synonim programu asymilacji pod płaszczykiem haseł humanitarnych. Pierwszym obowiązkiem naszej propagandy jest udowodnić, że nowa federacja właśnie nie będzie miała absolutnie nic wspólnego z tak jednostronnie pojmowaną unią jagiellońską i nie pociągnie za sobą tak opłakanych dla mniejszych narodów skutków, jak ta ostatnia. Nowa federacja musi mieć charakter na wskroś nowoczesny i pierwszym jej nakazem musi być zerwanie z historią, która obfituje w tyle bolesnych dla naszych sąsiadów momentów”[7].

Zerwać z historią – uważam wbrew Bocheńskiemu – nie tylko niepodobna, ale i nie warto, nawet gdyby było to możliwe. Każdy związek polityczny w warunkach europejskich musi mieć jakieś historyczne parantele, konstytuujące jego dziejowe podłoże. Powinien także prowadzić odpowiednią do swych celów politykę historyczną i kulturalną. Rzeczą historyków i publicystów (ale też pisarzy i artystów) jest dokonać takiej selekcji w materiale historycznym, by wyznaczyć odpowiednią tradycję – platformę wzajemnego odniesienia i wspólnego, przynajmniej do pewnego stopnia, przeżywania przeszłości. A co za tym idzie, także przeżywania wspólnych symboli, uroczystości i świąt państwowych o znaczeniu historycznym, wzorcowych, łączących narody postaci oraz konsolidujących wydarzeń historycznych. Trzeba bowiem stworzyć mentalny „grunt” pod konstrukcję Międzymorza, grunt jak najściślej związany z historycznymi – narodowymi i religijnymi, czyli realnymi – tradycjami poszczególnych krajów (z oczywistym, choć dyskretnym, „brakiem zainteresowania” – nie mylić z agresywną polityczną poprawnością! – dla kwestii bolesnych i spornych). Warto i trzeba zatem zmodyfikować politykę historyczną tak, by nie rozbudzać niepotrzebnie obaw mniejszych krajów, a raczej przeciwnie budzić ich ufność i sympatię. Nasze wspólne, śródkowoeuropejskie doświadczenia dziejowe są na tyle bogate, że jest to zadanie możliwe do wykonania. Bez takiego podłoża zaś twór taki zawiśnie w mentalnej – wyobraźniowej i emocjonalnej – „próżni”. Będzie sprawiał wrażenie bytu sztucznego – apriorycznie wydumanego w zadymionych gabinetach polityków – a zatem krótkotrwałego i zależnego od doraźnej koniunktury politycznej. Tymczasem winien sprawiać wrażenie czegoś organicznego, „naturalnego” i historycznie oczywistego. Adekwatna polityka historyczna nie zastąpi oczywiście realnej wspólnoty interesów gospodarczych i politycznych – ale wydatnie ją uzupełni. W warunkach

państw demokratycznych w żadnym razie lekceważyć nie można sympatii i antypatii obywateli. Te uczucia są potężnymi siłami, które należy nauczyć się odpowiednio wykorzystywać. Ich ignorowanie zaś może łatwo doprowadzić do spektakularnej klęski.

By jednak projekt Intermarium powiódł się, potrzeba nie tylko sprawnej polityki własnej (we wszystkich płaszczyznach), lecz także dalece i trwale sprzyjającej koniunktury na arenie międzynarodowej. Oto bowiem warunkiem koniecznym sukcesu tego przedsięwzięcia jest relatywna słabość Niemiec i Rosji – i to równocześnie. Inaczej realizacja tego politycznego pomysłu nie będzie w ogóle możliwa – lub będzie możliwa jedynie w minimalnym zakresie. Rozkwit potęgi Jagiellonów był możliwy właśnie dzięki takiej konstelacji. Wówczas stanowiło o niej rozbitcie polityczne Niemiec i mizéria Księstwa Moskiewskiego dopiero „raczkującego”, wątłego jeszcze po konfliktach z Mongołami. Nie inaczej było w 1918 roku, kiedy zarówno Rosja, jak i Niemcy okazały się przegrane i osłabione –właśnie dzięki temu odrodziła się Polska. Kryzysy polityczne obu sąsiednich `organizmów państwowych umożliwiły zmartwychwstanie i wzrost Rzeczypospolitej między nimi. Taka konfiguracja nie jest częsta – ale jednak co jakiś czas zachodzi. Także i tym razem musi się powtórzyć – jest to warunek *sine qua non* jakiegokolwiek sukcesu Międzymorza. Silne i skoncentrowane na Europie Środkowej Niemcy będą w stanie bez większego trudu storpedować taką inicjatywę. Podobnie też Rosja, zwłaszcza, że Międzymorze wyraźnie „nachodzi” na kraje uważane przez Rosję za własną strefę wpływów (Ukraina, Białoruś, Mołdawia, państwa bałtyckie). Czy możemy liczyć dziś na słabnięcie naszych potężnych sąsiadów? Czy istnieją poważne przesłanki pozwalające przewidywać w nadchodzących latach osłabienie obu sąsiednich imperiów na tyle znaczne, by otworzyła się przestrzeń dla polskiej ofensywy politycznej w regionie?

Otóż w moim przekonaniu można zauważyć wyraźne objawy osłabienia i destabilizacji zarówno Niemiec, jak i Rosji. Jeśli chodzi o pierwszy z tych krajów, to o przyczynach kłopotów już wspomniałem: kryzys migracyjny, finansowy „bunt” Grecji i innych, mniej zamożnych krajów Południa, rosnąca niechęć do supremacji politycznej i gospodarczej Niemiec w Europie Środkowej. Wydaje się jednak, że w dłuższej perspektywie czasowej najbardziej destrukcyjnym czynnikiem dla naszego zachodniego sąsiada mogą być skutki przyjęcia milionów imigrantów i uchodźców z Azji oraz Afryki. Tego rodzaju – nie do końca chyba przemyślana i zaplanowana, a przez to nieroztropna i pozbawiona elementarnego umiaru – polityka kanclerz Merkel będzie stanowić olbrzymie obciążenie dla budżetu – i to przez wiele najbliższych lat – a równocześnie wytworzy istotne problemy natury społeczno-kulturowej. Niemcy wierzą, że sobie z nimi poradzą, że uda im się wychować sobie lojalnych i pożytecznych obywateli niemieckiego wyznania muzułmańskiego. Zakładają, że ich model społeczeństwa i kultury okaże się na tyle atrakcyjny, że przeważą tradycyjne wzorce przyniesione przez imigrantów z Azji i Afryki. I być może faktycznie im się to uda, a równocześnie państwo niemieckie uniknie demograficznej (a w konsekwencji także gospodarczej) katastrofy, wzbogacając się dodatkowo o spory „wlew” świeżej i wzbogacającej „krwi”, a w szczególności – deficytowego, przerażającego i fascynującego zarazem „testosteronu”. Przy ogromnej dynamice rozrodczej „Nowoniemców” kraj ten w ciągu kilku dekad osiągnie zapewne i przekroczy liczbę stu milionów mieszkańców, dzięki czemu ostatecznie utrwali swoją dominację na kontynencie. Powtarzam raz jeszcze: ten optymistyczny scenariusz jest możliwy i państwo niemieckie z całą pewnością zrobi wszystko co w jego mocy – a moc ta

jest doprawdy imponująca i niemożliwa do zlekceważenia – uruchomi wszystkie swoje rezerwy finansowe, ludzkie, technologiczne i organizacyjne, by go urzeczywistnić.

Mimo to może im się nie udać. Możliwe, że przysłowiowa „buta” po raz kolejny popchnęła naszych zachodnich sąsiadów do porwania się na zadanie po prostu niewykonalne – tak jak miało to miejsce podczas wojen światowych. Niemiecka polityka jest, jak wiadomo, wzorem umiaru i roztropności, ale tylko dopóty, dopóki nie zostają one całkowicie i z kretesem odrzucone w imię jakiegoś szaleństwa – co się Niemcom raz na jakiś czas przydarza, na zgubę swoją, sąsiadów i całej Europy. Początkowe sukcesy mogą się bowiem przemienić w klęskę. Przybysze być może wcale nie zechcą przyjąć europejskiego stylu bycia i europejskiej tożsamości – nie po to tu bowiem przyjechali, ale wyłącznie w tym celu, by poprawić byt ekonomiczny, a „swój” świat zbudować w krajach Starego Kontynentu – nie zaś by Stary Kontynent budować w swych umysłach i sercach. Niewykluczone, że z tej przyczyny wielu z nich przystąpi do organizacji radykalnych, mających na celu stworzenie w Niemczech swoistych „kalifatów”, *quasi*-autonomicznych, izolowanych stref tradycjonalistycznej kultury muzułmańskiej. Realnym zagrożeniem dla Niemiec jest także wybuch przewlekłej wojny – z zasilanymi finansowo i ideowo z Bliskiego Wschodu – terrorystami islamskimi. W chwili gdy piszę te słowa agencje po raz pierwszy podają informacje o zamachach na brukselskim lotnisku i w metrze (22.03.2016). Widmo długotrwałej wojny z fundamentalistami jest realne. Ktoś powie, że Niemcy taką wojnę w końcu wygrają. Pełna zgoda. Ale może to potrwać wiele lat i angażować w znacznej mierze ich siły, środki, a także polityczną uwagę. Może się wiązać z głębokim kryzysem społecznym i kulturowym oraz koniecznością zasadniczej korekty projektu multikulturalizmu. Mimo przysłowiowej niemieckiej dyscypliny obywatelskiej, nie obejdzie się

najprawdopodobniej bez protestów społecznych i politycznych kryzysów... Nie będziemy przedłużać tej futurologii. Zanotujmy tylko to, że kryzys niemiecki, umożliwiający powstanie Międzymorza, jeśli nawet nie jest bardzo prawdopodobny, to na pewno nie jest wykluczony.

Rosja już dziś znajduje się w głębokim – największym od upadku komunizmu – kryzysie zarówno politycznym, jak i gospodarczym. Wypadnięcie Ukrainy ze strefy rosyjskich wpływów (katastrofalne gospodarczo i wizerunkowo), co więcej, stworzenie z niej swojego zawziętego wroga w samym niemal sercu „ruskich ziem”, wraz z sankcjami międzynarodowymi i dość konsekwentną izolacją im towarzyszącą trwale i istotnie osłabiło Rosję. Obrazu zapaści dopełniają katastrofalnie niskie ceny ropy naftowej. Nędza zwykłych rosyjskich obywateli szybko się pogłębia, lecz Putin nie rezygnuje z kosztochłonnych oraz ryzykownych i politycznie, i militarnie operacji w Syrii. Utrzymuje także, niezwykle kosztowny, bardzo wysoki poziom gotowości bojowej rosyjskiej armii. Straty wizerunkowe Rosji są na tyle znaczne, że nawet po wycofaniu sankcji bezpośrednich (co pewnie w końcu nastąpi, osobiwie w kontekście kryzysu bliskowschodniego) minie wiele czasu nim odzyska ona reputację wiarygodnego partnera politycznego i gospodarczego. Już dziś mówi się wprost o tym, że owoce rozwoju gospodarczego z pierwszej dekady XXI wieku zostały zaprzepaszczone, a gospodarka znajduje się coraz bliżej „jelcynowskiego” dna absolutnego... Gdy w końcu „zejdzie powietrze” z nacjonalistycznego balona niemożliwie nadmuchanego przez Putina, należy się liczyć z głębokimi niepokojami społecznymi. Nawet jeśli Putinowski terror policyjny je zdusi, to jednak sama ich groźba będzie pochłaniać znaczne środki finansowe, polityczne i organizacyjne. Ponadto, Rosja pilnie musi baczyć na to, co dzieje się na jej wschodzie. Pokojowa i gospodarcza w obecnych założeniach ekspansja Chin łatwo

może się przeobrazić – i z konieczności pewnie się w końcu przeobrazi – w bardziej agresywne działania, na które Rosja będzie musiała przystać, by nie stracić ostatniego swojego, wprawdzie na pewno nie sojusznika, ale jednak, jak dotąd, państwa „życzliwie” neutralnego.

Tak więc wydaje się, że sytuacja, którą uznaliśmy za warunek konieczny powstania Międzymorza, nie jest ani czystą fantazją, ani przykładem *wishful thinking*, co więcej, niektóre jej sygnały są już obserwowalne. To wystarczy, aby scenariusz „międzymorski” przynajmniej rzetelnie rozważać – nie zaś traktować wyłącznie jako *political fiction*, mocarstwowe urojenie politycznych marzycieli i megalomanów.

Jeśli nawet zewnętrzne okoliczności polityczne sprzyjałyby idei Intermarium, pozostaje wciąż niebłahy problem słabości gospodarczej Polski. Partnerom trzeba coś zaoferować. Najlepiej, jak wiadomo, pozyskują sympatię duże pieniądze: stosowne fundusze, inwestycje przemysłowe i infrastrukturalne, miejsca pracy, transfery technologii, linie kredytowe i komunikacyjne itd. Ale też – w ilościach znacznie większych niż symboliczne – stypendia, wydawnictwa, wspólne wydarzenia kulturalne, tłumaczenia literatury, nauki i publicystyki, czasopisma etc. A wszystko to zakłada solidny potencjał gospodarczy, technologiczny, finansowy i kulturalny, którego Polska... nie ma – jak twierdzą sceptycy. Wprawdzie jeszcze nie ma, ale w korzystnych okolicznościach i przy sprawnym zarządzaniu może niebawem mieć – replikują zwolennicy Międzymorza. Cóż, bez wątplenia polska gospodarka wciąż jest zbyt wątła na gigantyczne przedsięwzięcia międzynarodowe. Budowanie nowego bloku na pewno nie będzie mogło powielać „modelu niemieckiego”, polegającego na ogromnych sumach wyasygnowanych w stosunkowo krótkim czasie, tak jak miało to miejsce podczas inkorporacji NRD. Na to Polski dziś nie stać i w

najbliższych dekadach, nawet przy najlepszych dla nas scenariuszach, takimi zasobami dysponować nie będziemy. Musiałby więc w Międzymorzu zostać wdrożony model mniej jednostronny i centralistyczny, a bardziej korporacyjny i regionalistyczny. Nie tylko politycznie, ale i gospodarczo, musiałaby to być struktura „luźna”, „wieloośrodkowa” i partnerska – a nie hierarchiczna, a zatem generująca i pogłębiająca niebezpieczną politycznie, zwłaszcza w polskim wydaniu, dychotomię centrum – peryferia.

Być może jednak problem słabości gospodarczej Polski nie jest problemem największym. Można bowiem, niestety, żywić uzasadnioną obawę, że znacznie trudniejsza do przewyciężenia okaże się mizéria polityczna naszej elity rządzącej – niedobór odpowiednich kadr oraz konflikty wewnętrzne, a także brak niezbędnej, politycznej jedności nawet w sprawach kluczowych: w kwestiach strategicznego, długofalowego planowania, tak polityki zagranicznej, jak i wewnętrznej. Niektórzy obserwatorzy twierdzą wręcz, że pomiędzy głównymi siłami politycznymi Polski brak w ogóle jakiegokolwiek wspólnego mianownika – i politycznego, i ideowo-aksjologicznego, i psychologicznego. Są to zupełnie różne światy, różne planety, istne „monady bez drzwi i okien”, niezdolne do koordynacji swoich działań na jakimkolwiek poziomie i w jakimkolwiek – nawet najszczytniejszym – celu. Dobrze znane choroby polskiego życia politycznego – partyjniactwo, prywata, krótkowzroczność i niezdolność do tworzenia śmiałych wizji politycznych, kłótniowość, nieumiejętność zawierania kompromisów, brak myślenia w kategoriach racji stanu, odruch odwoływania się do obcych mocarstw – ujawniają się co krok w życiu politycznym naszego kraju. Trudno temu zaprzeczyć i niewykluczone, że to właśnie będzie stanowić nieprzewyciężalną trudność, która uniemożliwi powstanie bloku ABC – piszący te słowa przychyła się w każdym razie do takiego gorzkiego wniosku. Żeby ująć rzecz

najdosadniej: mam obawy (niestety graniczące z pewnością), że nawet jeśli rządy konserwatywno-prawicowe utworzyłyby jakimś cudem Międzymorze, rodzimi liberałowie i lewicowcy zdemontują je – lub przynajmniej zmarginalizują – natychmiast po dojściu do władzy. Dla zasady, „na złość”, „bo tak”. W tej sytuacji pozostaje jedynie mieć nadzieję na jakieś bliżej nieokreślone przemiany pokoleniowe – a co za tym idzie moralne i mentalne – które umożliwią odrodzenie polskiej klasy politycznej.

Zbliżając się do kresu niniejszych rozważań, warto jeszcze poruszyć kwestię ewentualnego sojusznika strategicznego Międzymorza. Czy blok środkowoeuropejski będzie potrzebował politycznego i gospodarczego wsparcia któregoś z wielkich mocarstw? A jeśli tak – to którego?

Z całą pewnością świat dzisiejszy jest światem wielkich imperiów, a takim Intermarum, nawet przy najpomysłniejszych wiatrach, nigdy nie będzie. Życzliwe wsparcie, któregoś z potężnych, światowych graczy, byłoby zatem więcej niż mile widziane. Którego? W świetle tego, co dotąd powiedziano, jest oczywiste, iż nie można liczyć na wsparcie ani Niemiec, ani na Rosji. Jeśli chodzi o tę drugą potęgę, pewne możliwości współpracy otwierałyby się tylko wówczas, gdyby projekt Międzymorza wyrzekł się ambicji objęcia państw uznawanych przez Rosję za jej nienaruszalną strefę wpływów – a więc Ukrainy i Białorusi. Rosja mogłaby wówczas chcieć grać na osłabienie Starej Unii, a przynajmniej szachować tą perspektywą Niemcy. Jest to jednak wariant mało prawdopodobny, tym bardziej, że grupy polityczne najmocniej zaangażowane w Polsce w projekt Międzymorza są równocześnie silnie antyrosyjskie. Rezygnacja zaś z Ukrainy i Białorusi oznaczałaby ponadto fiasko konceptu stworzenia „państw buforowych” między

nami a Rosją, która to idea jest już przecież mocno zakorzeniona w polskim myśleniu politycznym. Niemniej jednak nawet takie „okrojone” i „filorosyjskie” Międzymorze winno stać się przedmiotem nieuprzedzonego namysłu – przynajmniej jako straszak-ochrona przed ewentualnymi zbyt agresywnymi posunięciami Niemiec.

Sojuszniakiem strategicznym Intermarium mogłyby – przynajmniej potencjalnie – zostać również Stany Zjednoczone, rzecz jasna za pośrednictwem Wielkiej Brytanii. Ta ostatnia grałaby w dzięki temu podług swojej starej, wypróbowanej taktyki osłabiania najsilniejszego kraju na kontynencie – w tym wypadku Niemiec (szczególnie w świetle niemieckiego zbliżenia z Francją byłoby to dla brytyjskiej polityki atrakcyjne rozwiązanie). Już obecnie zresztą widać wyraźnie, że polityka Zjednoczonego Królestwa jest autonomiczna względem unijnego mainstreamu, a politycy królewscy raczej chętnie „flirtują” z środkowoeuropejskimi konserwatystami. Gdyby doszło do opuszczenia Unii przez Wielką Brytanię (w co piszący te słowa zdecydowanie jednak wątpi), perspektywa pozyskania sojusznika na Wyspach, byłaby bardzo realna – Anglicy będą zapewne usilnie poszukiwać partnera na kontynencie. Dzięki wsparciu angielskiemu zacieśnienie relacji ze Stanami Zjednoczonymi mogłoby stać się realne (choć bardzo wiele zależy tu od wewnętrznej sytuacji politycznej w tym kraju). Jakkolwiek sprawy by się potoczyły, wydaje się jednak, że Międzymorze nie powinno nadmiernie przywiązywać się do tego wyspiarskiego wsparcia. W mocy pozostaje bowiem pogląd Cata Mackiewicza, że sojusz któregośkolwiek kraju środkowoeuropejskiego ze Zjednoczonym Królestwem zawsze pozostanie sojuszem „egzotycznym”, bo byt Wielkiej Brytanii (a tym bardziej Stanów Zjednoczonych) nie zależy i nigdy nie będzie zależeć od państw naszego regionu. Brytyjczycy nie znajdą więc motywacji, by za nie ginąć – czy choćby trochę zbiednieć

Jako jeszcze bardziej egzotyczny partner jawią się Chiny. Ale – paradoksalnie – ta wielka odległość czynić może relacje polityczno-gospodarcze bardziej przejrzystymi. Chiny – najludniejsze państwo na świecie – by utrzymać wzrost gospodarczy i zaspokoić potrzeby swoich obywateli, muszą prowadzić politykę gospodarczą o zasięgu globalnym. Oznacza to, między innymi, że będą potrzebowały europejskiego „krążownika” – politycznej, gospodarczej i logistycznej bazy głównej dla swoich interesów, szczególnie w świetle ogromnego projektu nowego „Jedwabnego Szlaku”. Równocześnie Państwo Środka nie będzie w istotny sposób zagrażało suwerenności i bezpieczeństwu Międzymorza, mogąc przy tym stać się dla niego źródłem gospodarczych sukcesów (co oczywiście nie będzie proste przy konkurencyjności chińskiej gospodarki) jako wielki, chłonny rynek zbytu.

Nie od rzeczy byłoby również rozważenie zbliżenia z Turcją. Pozostaje ona bowiem krajem „pomiędzy” Rosją, Europą i Azją, od stu lat nie mogąc ostatecznie przechylić się – z wielu istotnych przyczyn, które nadal są czynne – w żadną ze stron. Prezydent Erdogan wyraźnie pragnie prowadzić podmiotową, wyrazistą politykę w regionie (marzy ponoć o odrodzeniu Imperium Osmańskiego), a sama Turcja posiada znaczny potencjał gospodarczy i militarny. Równocześnie kraj ten „choruje” na brak stabilnych sojuszników, tak w Europie, jak i w Azji. Turcja jest równocześnie tradycyjnie silnie antyrosyjska, co mogłoby stać się jedną z płaszczyzn strategicznego porozumienia. Oczywiście celowe „przepuszczanie” uchodźców i emigrantów, w celu uzyskania korzyści politycznych i finansowych, nie nastraja krajów takich jak Węgry czy Chorwacja zbyt ciepło do polityki spadkobierców Osmanów, ale ta sytuacja może ulec zmianie i lekceważenie możliwych korzyści, płynących ze współpracy z Turcją, byłoby poważnym błędem.

Tak oto jawią się – w ogromnym skrócie rzecz jasna – polityczne uwarunkowania ewentualnych narodzin Międzymorza. Każdy poruszony w tym szkicu wątek mógłby być – i być powinien – skrupulatnie rozwinięty i drobiazgowo przeanalizowany. Nie ma pośpiechu. Powstanie Intermarium to idea pomyślana w dłuższej perspektywie czasowej – sądzę, że właściwy horyzont rozważań winna określać cezura mniej więcej dwudziestu lat. Choć oczywiście nie można wykluczyć, że wypadki potoczą się znacznie szybciej – i zupełnie innymi torami. Tak czy inaczej – czy „wyjdzie” coś z Międzymorza czy nie – warto o nim dumać, warto ćwiczyć intensywnie śmiało i otwarte – nierutynowe i świeże – myślenie polityczne, także to przebiegające poza utartymi szlakami i wyrobionymi już kliszami myślowymi. Warto snuć zamaszyste wizje, tak jak czynili to polscy politycy w czasach świetności Rzeczypospolitej, nie zapominając jednak przy tym o twardym gruncie politycznych realiów. Do tego namawia nas także Bocheński, stanowczo twierdząc, że takie ambitne plany nie tylko nie przekraczają naszych możliwości, lecz stanowią – na dłuższą metę – jedyną właściwą drogę rozwoju polskiej państwowości:

„Jesteśmy skazani na wielkość i albo wielkość tę zdobędziemy lub też się wniwecz obrócimy. Musimy dlatego być narodem imperialnym, prężnym inicjatywą i wolą ekspansji. Tak jak niegdyś stoją przed nami nieograniczone wprost możliwości. Ale Imperium Polskie może powstać w tym punkcie geograficznym, w którym nas Opatrzność postawiła, tylko pod warunkiem nadania mu absolutnie odmiennego charakteru od dwu sąsiadujących z nami imperiów. Tak jak przed setkami lat zaczęliśmy rosnąć w siłę i znaczenie, kiedy wrócimy do czystej krynicy naszej kultury narodowej; kultury wnoszącej do atmosfery przepojonej pruską butą i rosyjskim barbarzyństwem świeży powiew wielkiego posłannictwa dziejowego; posłannictwa

polegającego na ułożeniu współżycia ludów Europy Środkowo-Wschodniej na podstawach chrześcijańskiej kultury narodowej. Musimy podjąć naszą dawną misję historyczną w odmiennych wprawdzie warunkach i wymagających odmiennych form politycznych, ale opierając się na tych samych założeniach ideowych i kierując się tym samym duchem tolerancji narodowej i religijnej”[8].

Prof. Bartosz Jastrzębski

[1] A. Bocheński, *Między Niemcami a Rosją*, Kraków–Warszawa 2014, s. 22.

[2] Tamże, s. 29.

[3] Tamże, 57.

[4] Tamże, s. 46.

[5] A. Bocheński, *Trudności polityczne federacji środkowoeuropejskiej* [w:] *Konserwatyści polscy 1918–1939*, red. M. Król, Warszawa 2014, s. 166.

[6] Tamże, s. 167

[7] Tamże, s. 167–168.

[8] A. Bocheński, A. Bocheński, S. Skwarczyński, K. Studentowicz, *Polska idea imperialna* [w:] *Konserwatyści polscy 1918–1939*, dz. cyt., s. 147.